Cena 25 gr

Skaut

ilustrowany dwutygodnik harcerski

15 MARCA 1939

TOM XXVI NR 8-9

NR 9/10

Zaproszenie do bajki

Słuchaj, siostrzyczko, już słońce zachodzi.
Dzwonią kukułki wieczornych zegarów.
Świat spada w ciemność i przez ulic parów,
noc wieloskrzydła cień księżyca wodzi.

Patrzą mi w oczy kolorowe gwiazdy,
i snem bieleją asfalty i mury.
Sam księżyc siodła nam czarne kocury,
do posrebrzanej i dalekiej jazdy.

Spiesz się! Gdzie będzie kres naszej podróży,
któż może wiedzieć? Niech drzemią zaspani!
A my, na skrzydłach zaklęcia rozwiani,
wędrujmy niebem, póki nas nie znuży!

Helena Tatar Zagórska

Złotnik w cichości tysięczne kształtuje klejnoty, u kowala pełno huku, roboty za szóstak.

Maksymilian Fredro

W NUMERZE:



PIERWSZY KROK

„Byłem zdolnym chłopcem" — mówił o sobie Marszałek Piłsudski, wspominając odległe czasy szkolne.

Gimnazjalne władze wileńskie są tego samego zdania. „Piłsudskij posiadał dobre zdolności, szczególnie w dziedzinie matematyki" — opiniował o nim „gospodarz klasowy".

A świadectwo maturalne, które wręczą za rok osiemnastoletniemu młodzieńcowi roić się będzie od dobrych i bardzo dobrych ocen. Łacina — 4, grecki — 4, matematyka — 4, historia — 5, geografia — 5.. i tak dalej. Matury dziewiętnastego wieku zawierały całe kolumny ocen.

„Piłsudskij posiadał dobre zdolności..." W ciągu ośmiu lat szkolnych ani razu nie powtarzał żadnej klasy, nie znał poprawek ani zastrzeżeń. Ale wśród licznych czwórek i piątek była jedna „plama": język rosyjski. Wieczna murowana trójka. Czasem z minusem:

Dyrekcja gimnazjum próbowała dociec tej niepoprawnej słabości w najważniejszym przedmiocie. W archiwum „Popieczitiela" wileńskiego szkolnego okręgu znajduje się nawet na ten temat notatka.

„Piłsudskij przygotowywał się do lekcji nie zawsze jednakowo należycie, poświęcając czas na czytanie książek, głównie literatury polskiej, tym się tłumaczy fakt, że nie dość dobrze posiadał język rosyjski zarówno w mowie, jak i w piśmie".

Oto przyczyna zła! Literatura polska!

Jest zmrok. Na stole w pokoju chłopców leżą niewypakowane tornistry. Dawniej, gdy Ziuk był w młodszych klasach, odrabiał zawsze lekcje z matką, która specjalnie nauczyła się przykrego dla niej języka rosyjskiego, aby pomagać dzieciom. I dawniej — w klasach pierwszej, trzeciej, czwartej — lekcje były zawsze odrobione, bo to była taka przyjemna praca. Nie praca, lecz zabawa. Właściwie, niewiadomo było, kto komu pomagał: mamusia dzieciom, czy dzieci matce. Dzieci i matka równocześnie uczyły się śpiewnej mowy zaborców. I raz matka poprawiała błąd wymowy czy pisma chłopców, innym razem chłopcy, kręcąc się z uciechy na krzesłach, poprawiali matkę. Lekcje takie były bardzo zabawne i przyjemne, szczególnie, że zawsze kończyły się tajemniczymi deklamacjami w bohaterskiej, polskiej mowie, robieniem sztandarów biało-amarantowych i opowiadaniami przygód Kościuszki czy Traugutta.

Ale dziś — Ziuk jest już w siódmej klasie. Ziuk sam siedzi przy stole i sam rozwiązuje trudności. A matka rzadko przychodzi do jego pokoju, aby popatrzeć na pięknie wysmukłego chłopca, na poważną, podłużną twarz, na ukochane włosy, buntowniczo sterczące do góry. Przychodzi rzadko, gdyż tygodniami całymi leżeć musi w łóżku. Ojciec i ciotki, bracia i siostry nigdy nic nie mówią o chorobie matki, lecz w mózgach wszystkich gnieździ się uporczywa, śmiertelnie beznadziejna świadomość — rak.

W siódmej klasie Ziuk częściej niż przedtem nie odrabia lekcji. I właściwie sam nie wie, co więcej odciąga od codziennych, szkolnych kawałków; choroba matki, czy książki. Zakazana, znienawidzona przez nauczycieli w granatowych frakach, szpiegowana i węszona „polska literatura".

Jest zmrok. Książki i bruliony szkolne nierozpakowane, ale na stole leży wielki stos innych książek — pootwieranych lub z zakładkami, z wypisanymi drobnym maczkiem na marginesach uwagami. To już nie są dawne opowieści o bohaterskich Grekach i Rzymianach, to nie są napoleońskie legendy.

„Anhelli" — i inne utwory Juljusza, który do zachwytu doprowadza tego z pozoru zimnego i opanowanego młodzieńca. Jeż-Miłkowski i setki stron rozważań o tysiącznym osiemsetnym sześćdziesiątym trzecim roku. Ten rok, ten rok! Nigdy niedość jest czytania o nim.

Limanowski — i artykuły, masy artykułów, tłumaczących idee nowego niemieckiego proroka, który powstał na europejskim zachodzie i nowe światy otwiera przed oczyma młodych dusz.

Jaki jest naprawdę ten Karol Marks, o którym tak pięknie i pociągająco pisze Limanowski? Jak naprawdę brzmi nowa ewangelia?

Książki-trucizny. Książki-jad. Rosjanie dobrze wiedzą, dlaczego prześladują tę „polską literaturę". To nie są książki-rozrywki, książki-odpoczynek. To są kuźnice umysłów i dusz, kuźnice charakterów.

Jest zmrok. Druk zlewa się w jedną nieczytelną plamę... Siedemnastoletni młodzieniec odrzuca głowę w tył i daje folgę burzy, huczącej pod czaszką.

Dlaczego dawniej były tak wielkie zwycięstwa — Kircholm, Grunwald, Wiedeń, Beresteczko — a dziś nic się nie udaje? Dlaczego jeszcze tak niedawno był Prądzyński, i Mierosławski, i Traugutt, a dziś nie ma n i k o g o? Dlaczego dziś nie ma n i k o g o? N-i-k-o-g-o! Ojciec nazywa 63 rok szaleństwem i nieszczęsną zapalczywością dzieciaków. Dlaczego każe w takim razie kochać to szaleństwo i czcić głupotę? Wszyscy znajomi noszą na piersiach medaliki z Kościuszką — ale wszyscy też uczą uległości „władzy". Wszyscy mówią, że jeden przeciwko ośmiu nigdy nie poradzi. Czy nie poradzi? Matka twierdzi ciągle, że poradzi. Ale tak mówi tylko jedna matka. I matka jest kobietą, więc może się nie zna na tym?

Dlaczego wykształcony, dystyngowany Europejczyk, światowej sławy strategik, generał Kościuszko, wkładał na siebie zamiast munduru chłopską czapkę i chłopską sukmanę? Dlaczego nazywali go „przeklętym jakobinem"?

Czy artykuły Mickiewicza w „Trybunie" to tylko słowa bez treści?

Dlaczego w styczniu 63 roku poszło w lasy tylko 10.000, czemu nie poszedł milion? Dlaczego w 31 roku walczyło tylko 50.000, a nie walczył milion? Czyż chłop nie jest Polakiem? Czy Śliwa lub Anioł gorzej będzie się bił od Potockiego lub Zamoyskiego? I jeżeliby nas — Polaków — wyszło w pole milion, jeżeliby wyszły masy — chłopi, robotnicy, ludzie z miast i ze wsi, z plebanii i od biurka — to czy wtedy oparłaby

się nam Rosja? Czy oparłyby się Niemcy? Wróg został by zgnieciony lawiną.

Podniecenie nie daje siedzieć. Płoną szare oczy, błyskają odsłonięte w nerwowym odruchu zęby. Nogi coraz szybciej przebiegają mały pokoik.

O — ale wtedy, nie może być tak, jak dziś. Przeklęty podział na panów i chamów nie będzie rozsadzał narodu. Sprawiedliwość... Równość... Nie ma żadnych warstw, żadnych przywilejów... Tylko praca i zdolności zadecydują o tym, kto pójdzie na czele.

Głowa płonie, kroki są coraz szybsze, zamieniając się niemal w bieg.

— Ziuczek!

Słaby, cichy głos z sąsiedniego pokoju.

— Chodź, powiesz, coś znów wybiegał dzisiaj po pokoju.

Po chwili Ziuk siedzi na taboreciku przy łóżku chorej i opowiada szybko, bezładnie, gorączkowo. Socjalizm, równość, masy.. Sprawiedliwość, dobrobyt, karność... Wszyscy za wszystkich... Naród... Wojsko — milion, powstanie — lawina, Zamoyski — z Aniołem...

Schorowane, wyschłe dłonie kobiece pieszczotliwie błądzą po zwichrzonych, niesfornych włosach.

— Tak, tak, Ziuczku. Prawda jest po twojej stronie. Tylko syneczku, ostrożnie ze słowami. Ostrożnie do czasu. Tyle oczu i tyle uszu czyha. I jeszcze jedno, synku: myśl i słowo to jeszcze nie jest czyn. Rozumiesz? Najmądrzejsza myśl jest niczym, jeśli nie popiera jej czyn, rozumiesz?

Czyż wobec takich przeżyć, wobec okresu burzy i wrzenia, jaki nawiedził Ziuka w siódmej klasie, można się dziwić gorszącym notatkom gimnazjalnym? „Piłsudskij przygotowywał lekcje nie zawsze starannie". „Uwaga w klasie zostawia wiele do życzenia".

Jest w tych notatkach nauczycielskich jedno zdanie znamienne: ...„charakter żywy, ujawnia dumę („gordost") ze znaczną częścią samolubstwa".

Otóż to. „Samolubstwo" i „gordost"!

Przejaw tej „gordosti" stał się powodem do przejścia Ziuka od myśli i porywających rozważań do czynów. Było to tak.

W pewien piękny marcowy dzień zapowiedziano w gimnazjum wizytę generał-gubernatora wileńskiego. Powóz generała zajechał przed bramę w czasie wielkiej pauzy, kiedy cała młodzież bawiła się, hałasowała i spacerowała po wielkim dziedzińcu szkolnym. Gdy tylko ukazała się rosła postać generała czerkiesów, zadzwonił alarmowo dzwonek, ze schodów pędem zbiegać zaczęli na powitanie dyrektor, inspektor i profesorowie, a na dziedzińcu zrobiło się cicho, jak makiem siał. Jeden za drugim prostowali się uczniowie, zdejmując czapki i oddając głęboki ukłon idącemu powoli wielkorządcy cara.

Piłsudski stał na końcu chodnika, którym przechodzić miał gubernator. Czerwone, generalskie lampasy, kozackie papachy czerkiesów, korne ukłony kolegów — szarpnęły nim, jak prąd elektryczny. W jednej chwili zakotłowało się w mózgu od wspomnień duszących, upokorzeń wstrętnych, od hańby i bezsiły sponiewieranej polskości. Żar krwi buchnął na policzki i, nie panując już nad tłumionym lata całe buntem, Piłsudski, gdy gubernator był od niego o 10 kroków, odwrócił się ostentacyjnie doń plecami i, nie zdejmując z głowy czapki, iść począł, przecinając drogę generałowi, w stronę bocznej furtki.

Wszystkie oczy — setki ócz — zwróciły się na przechodzącego w czapce obok generała ucznia. Wzrok gubernatora pociągnęła również jedyna ruchoma na placu sylwetka. Krzaczaste, siwawe brwi uniosły się w zdumieniu ku górze, a potem powoli przeszły pytająco na bladą, zmieszaną i wystraszoną twarz dyrektora.

— Wasza Ekscelencja raczy wybaczyć... Ten uczeń słynie w całej szkole ze strasznego roztargnienia i nieporadności życiowej — kłamał dyrektor Junickij, aby tylko wybawić siebie i szkołę z fatalnej sytuacji.

Dlaczego nie wyrzucono Piłsudskiego z gimnazjum? Dlaczego ominął go „wilczy bilet", zabraniający wstępu do wszystkich szkół państwa rosyjskiego? Może dyrektor obawiał się rozdmuchiwać na zewnątrz przykrą dla siebie sprawę?

Zato wewnątrz gimnazjum odbył się sądny dzień. Do siódmej klasy wpadł po odjeździe gubernatora, czerwony jak burak, inspektor.

— Piłsudskij!!!

Ziuk stoi chłodny, opanowany, z pochmurnie ściągniętymi brwiami i słucha gradu wymyślań, złorzeczeń, gróźb. Bezczelność... Brak wychowania... Ohyda... Buntownicza degeneracja duszy... Karcer, karcer, karcer...

„Milczenie jest bronią niewolników" powtarza gorączkowo w myśli Piłsudski, zaciskając nerwowo zęby.

Wynik awantury był nieoczekiwany. Ziuk zrobił się sławnym w całej szkole, a wiadomo, że sława pociąga ludzi. Starsi i młodsi koledzy-Polacy zaczęli się skupiać przy nim na pauzach, odprowadzać do domu. Zaczęły się częstsze odwiedziny, długie przyjacielskie rozmowy, spacery w kilku za miasto.

O czym rozmawiano? A o czymże innym mogli rozmawiać siedemnastoletni chłopcy w 1884 roku, jak nie o poniżeniach w rusyfikatorskiej szkole, o socjaliźmie i rewolucji, o Polsce przeszłości i Polsce przyszłości, o wątpliwościach religijnych, etycznych, społecznych.

Wreszcie ktoś rzucił myśl: a może by utworzyć koło samokształceniowe? Świetna myśl!

Kółko więc samokształceniowe zaczęło pierwszy rok swego istnienia.

Zbierano się za miastem, bo tak było bezpieczniej. Gdzieś w zalesionych jarach zwierzyńca schodzili się konspiratorzy ostrożnie, aby wysłuchać referatu kolegi i dyskutować. Dyskutować namiętnie, gwałtownie, całą duszę i wielki patos młodzieńczych porywów wkładając w słowa. Bo nie były to słowa-wiatr, były to słowa-idee. Kształtowały się światopoglądy, urabiały umysły, wyrastał przed oczyma cel życia.

Dziwna rzecz. Józef Piłsudski, choć stale uczęszczał na zebrania Koła, nigdy nie brał właściwie w nich udziału. Zwykle siedział gdzieś z boku, ze zmarszczonym czołem, zamknięty w sobie. Na pierwszych zebraniach był trochę ożywiony i przejęty. Ale z bie-

giem czasu odsuwał się duchowo coraz dalej. Bronek, starszy brat Ziuka, niemal w każdej dyskusji zabierał głos, Ziuk milczał uparcie.

— Ziuk, czemu tak stronisz od dyskusyj? Dziś był tak piekielnie ciekawy temat. Czemu znów milczałeś?

Ziuk chwilę namyśla się, wreszcie mówi powoli.

— Nudzi mnie ta rozwlekła gadanina.

W kilka lat potem to samo zdanie napisze Józef Piłsudski we wspomnieniach o Kółku wileńskim.

Nudzi go gadanina? Ideowe, porywające roztrząsania — to rozwlekła gadanina? Czemże chciałby zająć Koło?

Czynem!

I na jednym z zebrań Ziuk wreszcie przemówił. Proponuje skrócić dyskusje teoretyczne, a zabrać się do konkretnej pracy. Jeżeli ciągle gadamy, że trzeba wyzwolić Polskę, i wierzymy, że wyzwoli ją przede wszystkim rozbudzony lud — to przecież trzeba zabrać się do budzenia tego ludu i do szykowania wyzwolin. Same słowa nigdy jeszcze niczego na świecie nie dokonały.

Ziuk tę swoją pierwszą długą mowę w Kole wypowiedział którejś niedzieli. A w poniedziałek rozmawiał już, drżąc w niepewności obrotu sprawy, z jakimś rzemieślnikiem o zorganizowaniu tajnej szkoły polskiego czytania i pisania. Rzemieślnik zgodził się, obiecał pomówić z kolegami. Drugiego dnia Ziuk zaczepił jednego ze znajomych robotników. Znów chętna zgoda.

Wtedy dopiero praca w Kole nabrała dla Ziuka sensu. Grupa młodzieży rzemieślniczej i robotniczej rosła z tygodnia na tydzień, a wraz z nią rosło serce młodego przywódcy. Na tym bowiem terenie Ziuk bezapelacyjnie stał się przywódcą. Opanował dusze kolegów-gimnazistów i dusze robotników. Ta nowa praca, to nowe Koło, pachnące smarami fabryk i skórami warsztatów — to było niepodzielne królestwo Ziuka, to było coś co brało w posiadanie całą duszę i umysł.

Nareszcie!

Nareszcie zamajaczyła, jak w jasnowidzeniu, ścieżka przyszłego życia. I na tej ścieżce siedemnastoletni chłopiec zrobił pierwszy krok.

Czyż można się dziwić, że obserwujący Ziuka w gimnazjum profesorowie, kiwali z niezadowoleniem głowami, a gospodarz klasowy notował w dzienniku (koniec siódmej, początek ósmej klasy):

„Piłsudskij do zajęć szkolnych odnosił się lekkomyślnie, przychodził na lekcje nie zawsze akuratnie... uwaga w klasie zostawiała wiele do życzenia".

Tak, tak. My wiemy, dlaczego ta uwaga w klasie zostawiała wiele do życzenia. Wiemy bowiem, że uczeń Piłsudski rozpoczynał wtedy właśnie, czego nie dojrzeli profesorowie, długie pasmo ofiarnego życia. I dziwimy się tylko, jak mimo wszystko zdołał utrzymać się on na poziomie dobrego ucznia. *Aleksander Kamiński*

LIST SKAUTÓW WĘGIERSKICH

Hódmezövásárhely, 17. II. 1939.

„Két egytestvér mindakettö,
Áldd meg öket óh Teremtö
„Dwoje braci to rodzeństwo —
Błogosław im Stwórco-Panie"!

Kochani Druhowie!

Samodzielny zastęp „Mistrzów do wszystkiego" w patrolu Iukes 112-tej drużyny Hunów w Hodmezövásárhely utworzył sekcję polską i z tej okazji niżej podpisani zasyłają swym polskim Braciom serdeczne pozdrowienia szczerych serc węgierskich.

Nie pomyłka to, że „zagranicę" wysyłamy nasze listy, bo do tej pory nie mają jeszcze wspólnej granicy te dwa bratnie narody. Wszak nie my skauci, naprawiamy nieszczęsne linie graniczne... dlatego są między nami „granice".

Ale nie możemy stracić nadziei, bo żarzy się w nas wiara w wieczną sprawiedliwość Boską; nadzieja ta tkwi w naszej silnej woli i wytrwałości — teraz na własnych siłach się już oprzeć możemy i nie na ostatku wierzymy w Was, drodzy Bracia-Polacy, bo nigdy nas nie zawiedliście na przestrzeni wieków — podobnie jak myśmy Was też nie zawiedli — i wielka wspólnota interesów jeszcze mocniej zacieśnia naszą przyjaźń.

Wierzyć, chcieć i wytrwać, ziarno wyda plon i dla wszystkich nadejdzie wiosna prawdziwa, kiedy uściśniemy sobie bratnie dłonie na wspólnej granicy. A wtedy nikt i nic przezwyciężyć nas nie zdoła!

Nasz samodzielny zastęp zajmuje się modelarstwem lotniczym i nie przypadek zdarzył, że zrobiliśmy model „Czuwaja", który dumnie szybuje w przestworzach.

Na zebraniach naszego patrolu — jest nas 26-ciu — dumnie śpiewamy pieśni polskie i z tęsknotą spoglądamy ku Północy, tam, gdzie Wy żyjecie i skąd Wy spoglądacie ku Południowi — gdzie my żyjemy!

Wierzymy silnie, że z tej wspólnej tęsknoty i wspólnej woli wyrośnie rzeczywistość, a wzmocnieni tą wiarą życzymy Wam, drodzy Bracia — i sobie pożytecznej „dobrej pracy" dla dobra naszych narodów!

Czuwaj!

Felkai Gyulony[1])	*Kiss József*[2])
Szabó István	*Nagy Adorján*
Széles Lajos	*Lencse Tibor*
Olasz Lajos	*Zana Leszló*
Szabó József	*Lencse Géza*
B. Szucrs Itsván	*Vásárhelyi Géza*

[1]) „oficer" = instruktor (cs. cs. tiszt) komendant patrolu, chargé d' affaires. Węg.-Pol. Koła Harcerskiego i referent drużyny.

[2]) przyboczny, zastępca komendanta patrolu, referent lotniczy.

Z SZEROKICH DRÓG

CURTEA DE ARGES

Wrażenia z pobytu harcerzy lwowskich w Rumunii.

Po pięknym, pogodnym dniu niebo okrywało się zwolna słoneczną purpurą wieczoru, gdy po zlikwidowaniu obozów opuszczaliśmy morskie wybrzeża i pociąg unosił nas ku rumuńskiej stolicy.

Szybko, jakby w cudnym, krajoznawczym filmie przesuwał się przed nami baśniowy pejzaż kąpieliska Mamai, strojnej w wytworne pałace i hotele.

Znikały lazurowe tonie jezior: Tasaul, Siut, Canary i szmaragdowe kipiele Czarnego Morza, które piętrząc bezkresne fale, zdało się z nami żegnać tajemnym poszumem...

W końcu na horyzoncie skryły się sędziwe mury portu Constanzy, i wyjechaliśmy na spalony słoncem step Baraganůl. Gdy pociąg minął miasteczka Medgidię i Cernavodę, zaiskrzyły się szeroko rozlane wody Dunaju, który tu rozwidla się na przestrzeni 16 km tworząc rozlewiska zwane Balta Jalomitei. Nie jest to oczywiście sama rzeka — należąca zresztą do największych w Europie — lecz jej ogromne bagniska pośród wielu wysp i koryt. Prócz wiaduktu, biegnie przez nie 13 kilometrowy nasyp, którego zapoczątkowaniem jest główny most tzw. „Podul Regele Carol I", na 750 m długi. Całość tego 32 km arcydzieła techniki zdobią symboliczne posągi rumuńskich królów i bohaterów.

Ów półgodzinny przejazd przez trzy mosty i olbrzymie rozlewisko Dunaju nastręcza wiele ciekawych wrażeń. Raz wznosimy się wysoko nad poziom wód, wyglądających stąd już nie na rzekę, lecz na wielkie jezioro, to znowu mkniemy po wąskim nasypie, jakbyśmy jechali środkiem morza lub rozległych trzęsawisk... Kraina ta stanowi bogate królestwo ryb, ptactwa wodnego, rybaka i myśliwca.

* * *

Noc zwolna zapada. Już zdala na tle gwiaździstą konstelacją spowitego nieba błyszczą neony naddunajskiej stolicy i wnet wysiadamy w hallu bukaresztenskiego dworca.

Po oficjalnym odśpiewaniu hymnów państwowych młodsza brać harcerska odjeżdża w pullmanie na „Gara de Nord", starsi zwiedzają miasto. I przyznać należy, że współczesny Bukareszt — Bucůresti Mare, to fascynujący, pełen atrakcyj i wielkomiejskiego rozmachu — „Paryż Południa". Monumentalnie na wzór francusko-amerykański rozbudowany, olśniewa wieczornym kolorytem świateł, przepychem wystaw i bajkowych reklam. Jego wykwintne pałace, drapacze chmur, pomniki i bulwary nadają mu piętno miasta naprawdę pięknego.

* * *

Przed trzecią uwozi nas lokomotywa ku północno-zachodnim połaciom kraju.

Nastaje mglisty poranek. Przez puszyste opary zdają się z trudem przedzierać ożywcze promienie słońca, olśniewając brylanty porannej rosy. Ukazują się les ste wzgórza, a u ich stóp stylowe wille, tonące wśród łanów pszenicy, kukurydzy i winorośli.

Skoro minęliśmy miasteczka Gaesti i Pitesti, ukazała się błękitna wstęga rzeki Argesnul — mającej swe źródła u podnóża szczytu Negoiul (2.544 m), który należy do potężnego masywu Alp Transylwańskich. Rzeka ta otoczona jest szczególnym kultem Rumunów, gdyż nad jej brzegami, w Curtea de Arges wznoszą się Sanctuaria tego Narodu. Pociąg przystaje. Pod przewodnictwem p. A. Baldasici, jednego z szefów organizacji młodzieżowej „Straja Tǎrii" zwiedzamy miasteczko Curtea de Arges — ów „Srebrzysty Dwór", który dostojne oblicze skrył w pysznych topolowych alejach... Przy jego świetnie wyasfaltowanych szosach pobudowały się seminaria duchowne, internaty kleryków i świątynie. — Zdala dolatują nas poważne pienia młodocianych, klasztornych elewów.

Niebawem wstępujemy do wnętrza antycznej cerkiewki tzw. „Biserica Domneasca", która mimo upływu ośmiu stuleci ostała się do dziś, by świadczyć o życiu i kulturze minionych pokoleń. Niewielka ta, bizantyńska świątynia jest zbudowana z ogromnych, ciosowych głazów. Wnętrze jej opiera się na czterech dużych kolumnach, a ściany zdobią prymitywne freski i malowidła, wyobrażające postacie i sceny z życia świętych.

Jeden z duchownych usuwa kamienną płytę, pokazując za szkłem w złociste szaty odziane szczątki jednego z wojewodów i fundatorów świątyni. Mimowoli ogarnia nas pietyzm dla tych zabytków przeszłości i w poważnym nastroju opuszczamy prastarą cerkiewkę...

* * *

Po półgodzinnej marszrucie wchodzimy w obręb wspaniałego parku, u wrót którego pełni rolę „Cerbera" stojący na warcie żołnierz z długim, na ramię przerzuconym „Berthierem". W słonecznych blaskach południa ukazuje się naszym oczom jeden z najważniejszych „Panteonów Narodu" — monaster Curtea de Arges i pałac królewski w stylu wschodnim. Na tle zieleni, alabastrowo-kremowych murów i wież lśnią złociste, trójramienne krzyże i sztukaterie...

Twórcą tego najokazalszego pomnika średniowiecznego, rumuńskiego budownictwa jest włoski ponoć architekt, Mester Manole.

Całość budowli tchnie dostojnością, przepychem i bogactwem szczegółów jakie cechują bizantyńską sztukę — Wokół rozsiane złote promienie słońca, girlandy egzotycznych drzew i kwiecia, a na ich tle cudna biel świątyni i pąsowy koloryt pałacu wywołują uczucie niewysłowionego zachwytu...

Zaproszeni przez brodatych mnichów wchodzimy w złociste podwoje królewskiego Sanctuarium. Wszystko tu bardzo starannie utrzymane, lśni złotem i klejnotami, wszystko posiada swój urok i wymowę. Nie tylko starsi, ale i młodsi harcerze są wprost oczarowani wspaniałością wnętrza.

Pod marmurową płytą, spowitą amarantowym aksamitem,

zdobnym w złociste monogramy spoczęły doczesne szczątki rumuńskiej dynastii Hohenzollernów. Tu leży Elżbieta — monarchini i poetka, która pod imieniem „Carmen Sylwy“ dzieje tego klasztoru w szpalty dramatu zaklęła...

W bocznej nawie bazyliki spoczął były władca Rumunii Ferdynand, a obok niego przed kilku miesiącami ułożono białą, marmurową płytę, pod którą snem wiecznym śpi królowa Maria. Na płycie, prócz szkarłatnych róż lśni srebrny wieniec z dedykacją:

„Vom Urma candul si rapte Mariei tale — Societates Principele Mircea“ obok data: 24 Julie 1938.

Z kolei zwiedzamy nagrobki fundatorów tego imponującego „mauzoleum“, wojewody Neagel Basaraba z rodziną, a obok za szklaną szybą pokazują nam kosztowny płaszcz i podobiznę tego władcy Multan. W przeciwległej części nawy bocznej, okryty brązowym całunem leży wojewoda Radul.

Ciemne postacie dostojnych mnichów snują się cicho pomiędzy grobowcami, ciszy świętym nic nie mąci, czasem górski wietrzyk poruszy szmaragdowe liście laurów i cyprysów, które zlekka ocieniają bazylikę, czasem słychać tkliwe trele ptasząt ukrytych w gałęziach, czasem cichy szept modlitwy, lub stłumione łkanie uleci ku niebu. Poszczególne figury, polichromia i motywy dekoracyjne królewskiego Sanctuarium wykonane przez artystów z mistrzowską precyzją, należą do prawdziwych arcydzieł bizantyńskiej sztuki.

Cudowna ikona „Maicii Domnului“, dar cesarza Jana Paleologa, szacowne w pergamin i złoto oprawne ewengelie, barwne portrety królów i patriarchów, drogocenne żyrandole, ołtarze, kandelabry, kapiące od złota i drogich kamieni — olśniewają. O tych szacownych zabytkach, które z pietyzmem oglądamy krążą tu — z pokolenia w pokolenie — opowieści stare, ni to skarb drogi, zbiór klejnotów kosztowny, z którego nie wolno uronić ani jednego kamyka, ani jednej perły przejasnej.

Wódz lwowskiej „jedynki“ h. R. Brylak i młodsi debiutanci kunsztu fotograficznego utrwalają na kliszy ciekawsze fragmenty królewskiej bazyliki; słuchamy ostatnich wywodów jednego z duchownych na temat świętości i znaczenia oglądanych pamiątek, w skupieniu opuszczając ten przybytek piękna i chwały przeszłości...

Równocześnie zwiedzamy antyczną, na kształt wrót carskich zbudowaną fontannę, o której legendy osnuł lud i poeci — łącząc jej istnienie z genezą bazyliki. Dowiadujemy się od naszego przewodnika że Mistrz Emanuel — Mester Manole, chcąc doprowadzić do końca wielkie swe dzieło, musiał własnoręcznie zamurować ukochaną, młodą żonę w ściany tej studni, bo tego żądały od niego we śnie złe moce, burząc mu nocą wszystko, cokolwiek w dzień zbudował...

Motyw powyższy powtarza się zresztą w poezji i dramatach, z których najnowsze opracowanie, oparte na kanwie folkloru wydał Wiktor Eftimiu.

Powoli znika wśród nas nastrój skupienia i powagi, z jaką oglądaliśmy te prześliczne dzieła rąk ludzkich i twory natury.

Marszowym krokiem zdążamy do pobliskiej „gastronomii“, gdzie spragnieni, raczymy się obficie mineralną rumuńską „apą“, konsumując z apetytem różne specjały oryginalnej „brucătărie romăna“. Orkiestra cygańska rżnie ogniste czardasze. Humor harcerski i radosny uśmiech dominuje. — Zaopatrzeni w moc południowych owoców z żalem opuszczamy „kolorowe miasto“ i współczesne Elizjum władców Rumunii.

Władysław Illuk

Z WODY NA WODĘ

PAKOWANIE KAJAKA

Z cyklu techniczno-kajakowego

Pojemność ładowna kajaka turystycznego jest bardzo duża i wystarczająca do umieszczenia sporej ilości niezbędnego sprzętu obozowego i osobistego. Wprawdzie pakowanie jest umiejętnością prostą, niemniej jednak ze względów niżej opisanych wymaga znajomości pewnych zasad i ułatwień.

Ogólnie kajak składany jest pakowniejszy od sztywnego, jak również dwie jedynki zabiorą więcej bagażu niż jedna dwójka.

Aby nie nosić ciężkiego kajaka z bagażem, przeprowadzamy pakowanie po spuszczeniu kajaka na wodę.

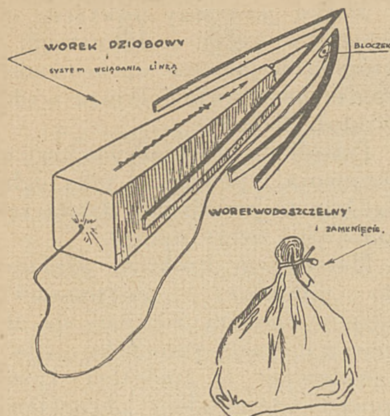
Przy pakowaniu zasadą pierwszą jest h i e r a r c h i a p r z e d m i o t ó w. W zależności od ich zastosowania, wielkości i stanu (czystości), pakujemy je do znaczonych puszek lub woreczków (nigdy papierowych), te umieszczamy według rodzaju do większych worków płóciennych, które z kolei wsadzamy do dużych w o r ó w w o d o s z c z e l n y c h, zapewniając w ten sposób ochronę dobytku przed zamoknięciem.

Sprzęt rozdzielony w ten sposób w kilku worach (których liczba nie powinna być duża 4—5), rozmieszczamy w łodzi, worki o zawartości rzadziej potrzebnej wsadzając głębiej, zaś potrzebniejsze bliżej wioślarza, przedmioty podręczne w torbach bocznych.

Utarty zwyczaj używania do pakowania plecaków i pokrowców kajakowych, wprawdzie możliwy jednak gorszy.

Ze względu na stratę czasu jaką powoduje pakowanie, specjalnie zaś dla łodzi wąskich mniej pakownych, wskazane jest sporządzenie worków wykształconych w formę wnętrza łodzi przez co uzyskuje się zupełne wykorzystanie miejsca. W tym wypadku dziobowe worki formy wydłużonych trapezowatych kiszek (ryc. 1) umieszcza się w dziobie, wciągając je za pomocą linki przewleczonej przez bloczek. Bloczek mocuje się w dziobie wewnątrz łodzi, zaś oba końce linki do worka — w ten sposób z. p. takiej „linki bez końca“ można worki z łatwością wciągać do wnętrza i wyjmować.

Worki sporządzić najlepiej z materiału gumowego, o szwach podklejanych, wszelkie inne materiały zawodzą, z wielu sposobów wodoszczelnych zapięć najprostszy a zarazem zupełnie wy-



ryc. 1.

starczający jest zwykłe zmarszczenie szyi worka, zgięcie, i ściągnięcie mocne paskiem. (rys. 1).

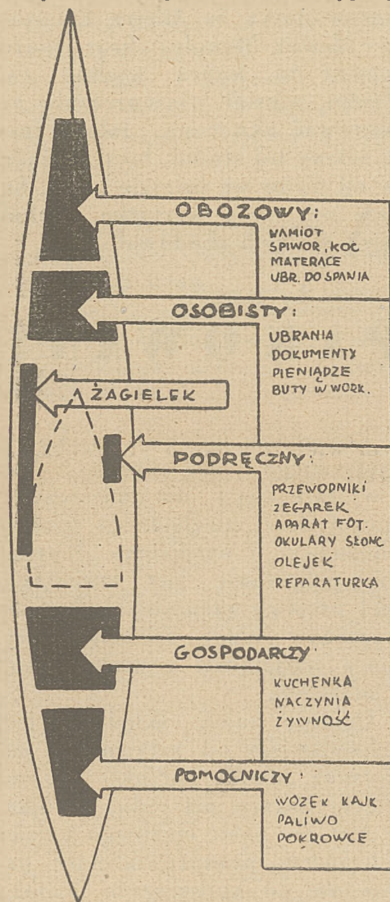
Osada łodzi winna zadecydować pewien s y s t e m p a k o w a n i a, którego przestrzeganie zwiększa sprawność, pozwala na szybkie wyszukanie przedmiotu, na postojach zaś zwiększa sprawność wypakowania łodzi.

Dla przykładu podano jeden z systemów pakowania kajaka jednoosobowego (ryc. 2). System powinien uwzględnić „hierarchię", oraz ciężar przedmiotów.

Należy pamiętać i zawsze praktykować, by w o r k i m o c o w a ć nie pozostawiając żadnego przedmiotu luzem, czynność tę na pozór przesadną i nużącą, sowicie wynagrodzi okazja pierwszej wywrotki, w wyniku której nieraz wiele przedmiotów niezabezpieczonych, tonie, zamaka, niszczy się, a pech chce, że bywają to zwykle zegarki, lornety, aparaty fotograficzne itp., w ten sposób sport kajakowy niespodzianie staje się „drogi i niebezpieczny".

Należyte pakowanie nie tylko ułatwia i zabezpiecza dobytek, lecz wpływa i na wioślarza rodząc jego lepsze samopoczucie, zwiększając odwagę i pewność, że ewentualna wywrotka nie narazi go na niespodzianki. Specjalnie na górskich rzekach mocowanie jest konieczne — bagaż i kajak stanowią masę, z którą wioślarz zespalając się, nadaje pracą wiosła i korpusu pożądane jej zachowanie — nieumocowany ciężar nagłą zmianą swojej pozycji i przeważeniem podczas ewolucji (np. telemark), zmienia rozłożenie mas, w ten sposób przekreślając „rachubę" wioślarza, czyniąc ją nie udałą.

Ważną rzeczą jest właściwe r o z ł o ż e n i e c i ę ż a r ó w, które winno być równomierne, łódź obciążona bagażem i wioślarzami, winna zanurzać się po linię wodnicy konstrukcyjnej,

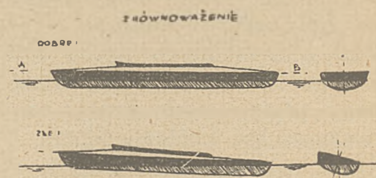


ryc. 2.

praktycznie zachodzi to wtedy, gdy linia pokładu A-B (ryc. 3) będzie równoległa do poziomu wody czyli dziób i tył, jednakowo wysoko będą z wody wystawać.

Częstym błędem jest zbytnie obciążanie rufy, zwiększa ono opór oraz zanurzenie łodzi.

Ważną jest kwestią p r z e w i e t r z a n i e, przedmioty mokre i zgromadzona woda parują i przy niedostatecznej wentylacji powodują zaparzanie — pakując nie należy dziobów bagażem szczelnie zabijać, lecz luźnie, umożliwiając dostęp powietrza.



ryc. 3.

To samo dotyczy pakowania m o k r y c h p r z e d m i o t ó w np. mokry namiot, ubrania, nie należy wkładać do worków gumowych lecz przygotować luźno złożone, do jak najrychlejszego wysuszenia.

Przy w y k o r z y s t y w a n i u m i e j s c obok wioślarza, nie należy zbytnio zabudowywać, pamiętając by pozostawić dość miejsca dla swobody ruchów wioślarzy, szczególnie gdy chodzi o miejsca na nogi.

P o w y c i e c z c e kajakowiec pakuje powtórnie, tym razem przygotowując dobytek do transportu. Łódź składana znajduje pomieszczenie w pokrowcach, zaś sprzęt osobisty i obozowy w plecaku, który z tych względów winien być obszerny (60×60), zaopatrzony w szerokie pasy do noszenia, i kieszenie. Plecaki z ramami ze względu na trudności umieszczenia nie nadają się (są z odpinanymi ramami); stosując materiał nieprzemakalny i szczelne zapięcia można z łatwością połączyć ideę plecaka i worka wodoszczelnego. Przy pakowaniu plecaka stosować należy podobne do omówionych, zasady. Tak spakowany dobytek umieszcza kajakowiec na specjalnym, s k ł a d a n y m w ó z k u, co pozwala mu w sposób wygodny uniezależnić się od miejscowych warunków transportowych.

Jan Mięsowicz

REJS PO BAŁTYKU

I. I ODTĄD LOG ZACZYNA ODMIERZAĆ DROGĘ

Początków tego rejsu należy się dopatrywać na Zebraniu Zarządu Oddz. na którym w ramach akcji letniej Krzysztofa Arciszewskiego ustalono projekty tras, załóg, kapitana. Jeszcze we Lwowie 23. VI. br. na pierwszym zebraniu załogowym, omówione zostają warunki, terminy, rozdzielone funkcje i obowiązki... wreszcie pod koniec sierpnia zjeżdża się do Jastarni część nowej załogi, ażeby powitać powracającego z rejsu „Krzysztofa" i załogę.

Dnia 28. VIII. przejęty zostaje od kapitana Majewskiego jacht, przez nowego kapitana i nową załogę, której skład ostateczny zostaje ustalony dopiero na miejscu — z zatwierdzonych przez Prezydium list nie stawiło się czterech zawiadamiając, na ich miejsce zaokrętowani zostają inni członkowie naszego Oddziału, przy czym jak ustalono dwa miejsca obsadza Komenda Obozu Jastarnia — w ten sposób 30. VIII. znajduje się na pokładzie kompletna załoga, która po raz pierwszy zetknie się z „Krzysztofem"-statkiem i jego tradycją.

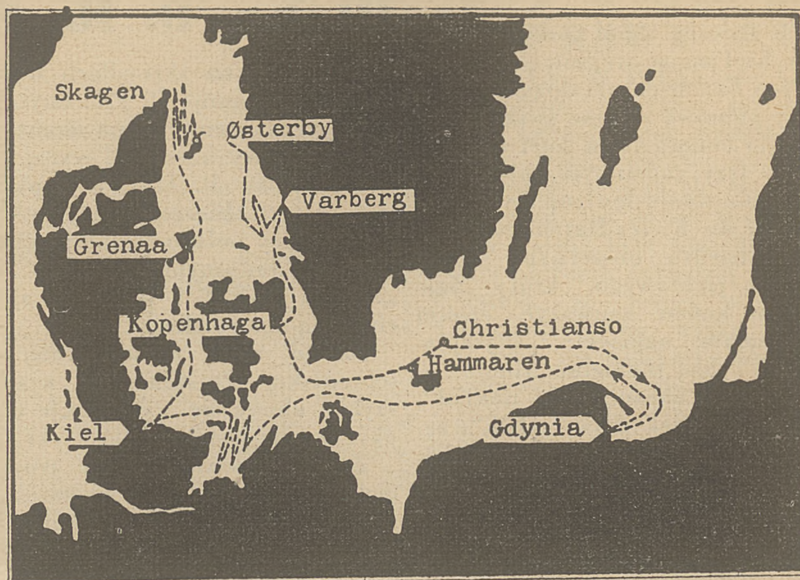
Biegnie czas szybko zastając załogę przy pracach przygotowawczych i reperacyjnych, bowiem wypracowany przez dwa rejsy statek pełen jest braków i niedomagań, które muszą być zreperowane, z wielu innych: motor, refpatenty, radio i żagle, przedłużają termin odjazdu.

W między czasie załoga uczestniczy w poświęceniu nowego jachtu „Wspólnota", zwiedza „Zawiszę Czarnego", wyjeżdża „Krzysztofem" na próbne pływania po zatoce i do Gdańska zawierając na pierwszej martwej fali przyjaźń ze statkiem i morzem.

Dnia 2. IX. wszystkie działy meldują klar — zdolność morska zostaje sprawdzona — jacht jest gotów do drogi.

Przy wspólnej wieczerzy na statku, załoga w skupieniu słucha kapitańskich rozporządzeń — jest pełna powagi dla zadań jakie morze i „ląd" na nią nakłada. Godz. 22.00, celnik zchodzi z pokładu — opadają cumy — jacht wychodzi żegnany rozmową świateł portowych.

Wachty i funkcje zabierają się skrzętnie do pracy. wyciągają bąka, rozpakowują żywność, porządkują, nawigacyjny określa pierwszą pozycję i odtąd log zaczyna odmierzać drogę...



Ranek 3. IX. zastaje nas przy słabym wietrze około Rozewia, wreszcie wiatr zanika pozostawiając statek na martwej fali — statek kołysze niemiłosiernie utrzymując się „stale i stale" w trawersie latarni, jest to pierwsza pamiętna lekcja załogowej nawigacji pt. „Co jest trawers"...

W chwilach lekkich podmuchów próbujemy rozmaitych kombinacji żaglowych co nie wiele zresztą pomaga — wiatr widocznie drwi z nas zostawiając lekkie plamy zmarszczek w innych miejscach morza... wreszcie decyduje się przychodząc z Ostu

4. IX. — pędzimy pod wydętymi spinakrami stawiając wszystkie płótna jakie tylko da się. Jacht szybuje jak ptak spokojnie i szybko — radosna pieśń krzysztofowa wzbija się echem spod ogromnego namiotu Wezyra-spinakra. Co raz silniej wiejący wiatr nakazuje ostrożność — ustaje pieśń — załoga zmienia żagle i ponownie sprawdza działy.

Czerwony zachód słońca, szybko zmieniające się chmury, grzmoty każą naszemu meteorologowi „Dzikowi" wysnuwać wnioski na przyszłość, jakoż słyszymy za chwilę z wileńska „ot wiatr nasila się"...

Niebo pokrywa się nimbusami, zaczyna padać. widoczność minimalna — odwrotnie proporcjonalnie do wiatru redukujemy żagle, idąca na północ szkuta żaglowa wchodzi nam w kilwater, widocznie nie ufając pogodzie lub swej nawigacji. Wiatr skręca na północ i tężeje. Refowanie grota okazuje się niemożliwe ze względu na popsuty refpatent (ktoś klnie na SYG.), płyniemy przeto na foku i bezanie utrzymując się mniej ostro do wiatru — również refpatent bezana nawalony (wyłamany tryb), refujemy go jednak w rękach zakładając sztopery oraz zmieniamy żagle na sztormowe.

Noc zastaje nas w Ferhmarn Bełcie — duża fala, zacinająca ulewa, wiatr porywisty często do 9 stopni — pozostajemy na samym foku sztormowym podziwiając doskonałe i spokojne zachowanie się statku.

Już jakoś jest tak, że gdy jest źle to gorzej być musi, więc nawalają szczegóły — refdemizki trajsla są tak ciasne jak ucha igielne, szkoty żagli słabe pękają, przeskakują trybu steru, w końcu ster przestaje całkiem działać... trzeba zachować dużo spokoju i rozwagi by na czas wszystko naprawiać nie umniejszając zaufania do statku.

Nad ranem wiatr zaczyna słabnąć skręcając o 90 stopni na zachód — mijamy wreszcie wyspę Fehmarn.

Trafiony latarniowiec Markelsdorfer Huk upewnia nas w pra-

widłowości naszych zliczeń i przypuszczeń nawigacyjnych — stąd bierzemy kurs na latarniowiec Kiel.

W dziesięć i pół godzin osiągamy Kiel mając wejście pod wiatr. Przed Friedrichsort doganiają nas trzy pionowe zielone światła i na chwilę cumujemy u burt celnika.

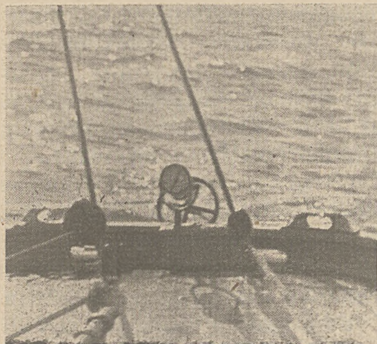
Po trzy godzinnym spisywaniu i plombowaniu lawirujemy w sektorach do Kieler-Hafen poszukując w bardzo obszernym porcie basenu jachtowego, który daje się w końcu zauważyć swoim skromnym napisem: „Olympiahafen". Jest piekielne zimno — „wszystkie ubrania na pokład", mimo tego jak mówi „Dzik", zęby dzwonią lepiej niż boja Kiel 5, są nawet projekty zainstalowania piecyka... świta.

Na molo jachtowym spostrzegamy zapraszającego nas rękami bosmana portu, jak się później okazało „Herr Preusa".

Wchodzimy na żaglach przyjętym tu manewrem, rzucając na czas żagle i wchodząc dalej rozpędem — po dalbach przeciągając się stajemy na Nr 13.

Pierwszy etap został osiągnięty (cdn.)

Mięsowicz Jan H. O.



PO BIAŁYM TROPIE

MIGAWKA Z ZIMOWISKA III Kr. D. H. W ŁUPKOWIE

Tanio, bo na skrzydłach wyobraźni, proponuję Ci PT. Czytelniku przeniesienie się na moment na prawdziwy harcerski wyraj.

Schronisko P. T. T. w Łupkowie, w Zach. Bieszczadach, na samej granicy polsko-czeskiej, tętni nowym, radosnym życiem. To „zielona trójka" z Krakowa zjechała na zimowisko.

Już od rana panuje ruch w schronisku. Po śniadaniu wiara szybko ubiera się i smaruje dechy. Dzisiaj jest bieg harcerski.

Zastępy podzielone na trójki meldują się gotowe do wymarszu. ...Druhu sędzio, XY, HO zgłasza trójkę „Misiów" gotową do wymarszu...

Jesteśmy systematycznie „maltretowani" z terenki. Idzie jak „cyz". Za chwilę przypinamy dechy i dalejże śladem naszych poprzedników. Wąski ślad, stylowy, pnie się ostro pod górę. Henio (członek zpu „Misiów" i gospodarz w jednej osobie) śmieje się... Powód? — wprost sadystyczny. Nasmarował sobie „uniwersalnym". Efekt? — już wygląda jak młynarz.

W dalszym ciągu ostre podejście prowadzi na szczyt pasma. Tu zauważamy wbite w śnieg chorągiewki sygnalizacyjne. Spod lasu na horyzoncie macha ktoś chorągiewkami. — Morse: k-a... Karolek „uskutecznia" odzew. „K-t-o-j-e-s-t-e...". Przerywamy miłemu rozmówcy i meldujemy się, po czym dostajemy rozkaz: „Biegiem do mnie"... Szus w dół, efektowne „kupermarki" w potoku i małe podejście pod las. Parę pytań z Morse'a i semafora i jedziemy na „gazie" dalej. Piękny zjazd holwegiem — a tu stop. — List (n. b. bardzo chytrze schowany pod krzaczkiem). Ze zgrozą przeczytaliśmy fakt, że jeden z naszej trójki właśnie złamał nogę w goleniu i mamy go przewieźć po śladach do punktu opatrunkowego. Naturalnie musiał to być Henio, jako najlżejszy. Wściekły był, gdy mu usztywniałem „nóżkę". Ale ostatecznie „wtachaliśmy" go na nosze z jego własnych nart i kijków i zaczął się nieszczęsny transport. Trasa z miejsca zmieniła się w ostry zjazd między drzewkami. Biedny Henio systematycznie zbierał za kołnierz śnieg z mijanych gałęzi, w czym (muszę się przyznać) pomagaliśmy mu z całego serca. Ale nie na tym koniec. Zjazd przeszedł w szus. W tem przed nosem mignęły mi narty Karolka, sam uczułem jakąś lekkość, deski poszły gdzieś w bok, jakiś nieartykułowany okrzyk i... cisza... Skonstatowałem, że pod łokciem mam głowę Karolka. Z naszych desek zrobiła się „pętelka". — Szybko rozplątaliśmy się, — a tu z naszego „pacjenta" ani śladu. Z za krzaka dochodzi nas śmiech. Łobuzerski śmiech Henia. Widać tylko nogę pięknie oprawioną w łubki. Reszta delikwenta, jako i całe nosze w śniegu.

Po chwili zameldowaliśmy się już u „lihunika" (lihunik po estońsku znaczy rzeźnik, tu określenie na samarytanina). Naszą szczęśliwą gwiazdę zostawiliśmy widocznie w śniegu przy ostatnim stylowym „kupermarku" kombinowanym. Oblaliśmy z maści ichtiolowej (która n. b. wyszła lihunikowi bokiem po naszym „kąciku humoru" na drzewku oboz.).

Dalsze tropienie po drewienkach wbitych w ziemię zawiodło nas po paru podchodach i zjazdach do stacji pionierki. Tu zapaliliśmy ognisko (1 zapałkę) i ugotowaliśmy sobie herbatę, co łącznie z chlebem i kiełbasą, stanowiło dobrze zasłużone II śniadanie.

Uff, gorąco, a tu fantazja sędziów każe nam przejść ponad dość głębokim parowem po zwalonym drzewie. Pień był olodzony i w jednym miejscu pozbawiony kory, — jak się okazało przez jednego z poprzedników (olodzony nie, tylko odrapany). Przed przybyciem do schroniska po wbitych gałązkach, które mieliśmy zliczyć, odbywamy strzelanie z floweru (na punkty) i wiatrówki (na skupienie).

Na zakończenie biegu byliśmy pytani z historii dr-ny i życiorysu patrona. Uwzględniając fakt, że dr-na istnieje od 1911, a patronem

(dokończenie na str. 107)

SŁUŻBA BLIŹNIM

HARCERZE W SŁUŻBIE OPL

KOMENDANT „GARNIZONU LWÓW"
Nr 767/OPL. 39.
Lwów, dnia 2 marca 1939 r.
Ćwiczenia OPL — użycie drużyn harcerskich.

Związek Harcerstwa Polskiego
Komenda Hufca Harcerzy

Lwów
Ul. Kurkowa 12.

NA PISMO NR 140/39 Z DNIA 22 LUTEGO 1939 R.

Zawiadamiam, że zgłoszeni ochotniczo do służby obserwacyjno-meldunkowej, oraz do służby łączności w czasie ćwiczeń w dniach od 13 do 15 lutego 1939 r. — harcerze z lwowskich drużyn harcerskich, a to 2-giej Drużyny Łączności, 1, 4, 5, 9, 22, 23, 25, 35 i 40-tej pracowali na wyznaczonych stanowiskach — bez zarzutu, wywiązując się z nałożonych obowiązków bardzo sumiennie, wykazując duże zainteresowanie się oraz zapał godny podkreślenia, mimo pracy w ciężkich warunkach, co dotyczyło w pierwszej linii harcerzy 35-tej i 40-tej Drużyny.

Niezależnie od podziękowania młodzieży szkolnej za chętną pracę w czasie ćwiczeń, złożonego przez Dowództwo Ośrodka za pośrednictwem Polskiego Radia w dniu 15. II. br., składam Komendzie Hufca Harcerzy żołnierskie podziękowanie za obywatelskie stanowisko, w odpowiedzi na mój apel do zgłoszenia się drużyn harcerskich do pracy w obronie przeciwlotniczej, oraz proszę członkom wyżej wymienionych drużyn złożyć — w imieniu służby — żołnierskie podziękowanie.

Spodziewam się, że gdy zajdzie potrzeba w poważnej chwili dla Państwa użycia Harcerstwa do służby w obronie granic Rzeczypospolitej, cała młodzież harcerska również z ochotą i pełnym poświęceniem do tej służby stanie.

Czołem!

Komendant Garnizonu
wr. Zulauf Juliusz, gen. bryg.

HARCERZE LUBELSCY W SŁUŻBIE O. P. L.

W dniach od 6 do 8 lutego br. odbyły się ćwiczenia obrony przeciwlotniczej i przeciwgazowej w Lublinie. Bardzo czynny udział w ćwiczeniach wzięli harcerze hufców lubelskich, którzy pełnili służbę łączności pod kierownictwem harcmistrza Trzpili Jana, z-cy Komendanta Chorągwi.

Ogółem pełniło słuzbę 89 harcerzy. O ich sprawności i użyteczności „ćwiczebnej" świadczy pismo Komendy OPL miasta, w którym wyrażono uznanie i podziękowanie za pełne oddanie poświęcenie się w chwilach „niebezpiecznej" akcji nieprzyjaciela.

(dokończenie ze str. 108)

jest K. Pułaski, bohater dwóch półkul, no i pytał znany ze złośliwości kdt powyższego zimowiska nic dziwnego, że bractwo było przeganiane w okropny sposób.

Szkicem topograf. z pamięci zakończyliśmy zimowy bieg harcerski. *Włodzimierz Borkowski*

(dokończenie ze str. 106)

piej zorganizowanych społeczeństw, wytknąć sobie cel i iść do niego wytrwale. Sądząc z obserwacji i wiadomości prasowych młodzież wiejska rozumie tę prostą prawdę.

SZUKANIE MIEJSCA

GDZIE SZUKAĆ POPRAWY BYTU

O tym, że Polska jest krajem rolniczym powtarza się stale i przy każdej okazji wszędzie tam, gdzie trzeba mówić o naszych sprawach socjalnych czy gospodarczych. Już dawno ustalono, że aby Polska była krajem o wysokiej kulturze duchowej i materialnej, to trzeba zacząć od dźwignięcia na wyższy poziom kultury wsi polskiej. Blisko 70% ludności żyje z rolnictwa. Ma to swoją wielką wymowę i stwarza cały łańcuch przyczyn i skutków gospodarczych. Między innymi uzależnia również rozwój miast polskich od sytuacji gospodarczej wsi. Jest to jasne i zrozumiałe. Jeżeli rolnik będzie posiadał dostateczne dochody ze swojej gospodarki, to będzie konsumował większe ilości niż dotychczas artykułów przemysłowych. Pociągnie to za sobą wzrost produkcji w fabrykach, wzrost zatrudnienia i lepszą sytuację gospodarczą miast.

Ale sytuacja wsi polskiej nie jest niestety najlepsza. Zachodzi przy tym kolosalna różnica między wsią zachodniej Polski a Kongresówki, tym bardziej zaś — Kresów Wschodnich. Wsie w Poznańskim i na Pomorzu są podobne do wsi w Europie zachodniej — choć daleko im jeszcze do wzoru duńskiego, do pięknie zabudowanych wsi, zaopatrzonych w wodociągi, elektryczność, telefony itd. Zresztą trudno nam w tej chwili jeszcze mówić o osiągnięciu wzorów duńskich, skoro się spojrzy na wsie poleskie czy wileńskie. Obliczono, że aby dźwignąć naszą gospodarkę wiejską na taki chociażby poziom, na jakim znajdują się dobrze prowadzone gospodarstwa wiejskie w Centralnej Polsce, to potrzeba na to około 15 miliardów złotych. Cyfra wprost astronomiczna, suma zaś niemal nieosiągalna w naszych warunkach, tym bardziej w krótkim okresie czasu.

Jednak można nadrobić braki pieniężne czymś innym. Jest to zaś wytężona praca, spotęgowany wysiłek, kierowany umiejętnie dzięki zdobytym praktycznie czy z książek wiadomościom.

Nie ulega kwestii, że wielką rolę w dźwiganiu wsi na wyższy poziom życia powinna odegrać młodzież wiejska. W tej chwili warunki życiowe układają się dla niej jak najbardziej niepomyślnie. Przeludnienie wsi, nadmiar rąk roboczych, niemożność imigracji do miast, — wszystko to są rzeczy mogące wywołać przygnębienie nawet wśród odpornych. Ale młodość ma jeden wielki przywilej: związany jest z nią zapał i pęd do pracy. Dlatego też gdy młodzież wiejska rozważy sobie dobrze sytuację swoją i otoczenia, to zwykle bierze się do pracy organizacyjnej, szukając w niej rozwiązania kwestii powodujących biedę na wsi. I tak właśnie trzeba. Nie można siedzieć z założonymi rękami, nie można czekać na poprawę, która ma sama przyjść, automatycznie, trzeba dołożyć jak najwięcej starań, by do niej doprowadzić.

Rozwiązań spraw wiejskich trzeba szukać na terenie wiejskim. Od wysiłku samej wsi zależy poprawa jej bytu. Dlatego też wiarę w poprawę można czerpać z widoku działalności organizacji młodzieżowych na wsi.

Tak się obecnie układa, że niemal wszystko to, co świadczy o postępie, jest w dużej mierze dziełem młodzieży. Prace na doświadczalnych poletkach, organizowanie czytelni i bibliotek wiejskich, straże pożarne, kółka samokształceniowe — to najważniejsze formy pracy młodzieży wiejskiej. Ale i w organizacjach dorosłego pokolenia młodzież odgrywa coraz większą rolę. Wszędzie tam gdzie chodzi o większy wysiłek organizacyjny, o spotęgowanie działalności propagandowej jakiejś idei, młodzież trzyma prym. Wiadomo, że kółka rolnicze czy spółdzielcze wtedy tylko działają sprawnie i mają dużą ekspansję, gdy znajdą się w ich szeregach młodzi.

A pracy na wsi jest wiele, jeżeli chce ona dźwignąć się i dorównać wzorom z krajów zachodniej Europy. Pracy tej starczy dla wszystkich i na wiele lat.

Nie trzeba szukać poprawy bytu daleko. Trzeba przede wszystkim rozważyć możliwości jakie istnieją wśród najbliższego oto-

(dokończenie na str. 107)

NA TROPACH POEZJI

Dzień dobry życie

...życie jest piękne, życie ma swój wdzięk!...
Boy

Tramwajem oto czerwonym w świat płynę,
w mgłę i w dymami osiwiały mrok,
w miasto niebieskie, półszare, półsine,
jak czyjś daleki i drogi mi wzrok.
A nad dachami już słońce ozłaca
niebo i wschodzi powoli nad cień;
rannym stukotem zaczyna się praca,
rannym uśmiechem zaczyna się dzień.
Dzień dobry, życie! Dzień dobry, kochani:
niebo i słońce, — i ludzie pod mgłą
ci, co już wstali i są niewyspani
i ci — szczęśliwi! — którzy jeszcze śpią.
W słońcu promiennym błękitna mgła taje,
w słońcu promiennym prostuje się świat;
jak dobrze jechać czerwonym tramwajem!
jak dobrze jechać ulicą wprost w wiatr!
Oto jest życie: ten wiatr i ten tramwaj,
oto jest zycie: ten gwar i ten stuk,
świat, co wieżami trysl tak, jak fontanna,
nad śliskie dachy i uliczny bruk.
Cieszę się światem i niebem, i iskrą,
którą stalowy zapalił się drut,
miastem, tramwajem i wszystkim, — bo wszystko,
wszystko jest życiem i wszystko — to cud!!
I dobrze istnieć ot tak — jak przechodzień,
obijacz bruków i uliczny gap,
któremu cuda iszczą się na codzień,
któremu życiem nawiewa w twarz wiatr.
Taki, gdy słońce stanie na błękicie
i nad dachami zaczyna się lśnić,
przystaje nagle i trwa tak w zachwycie,
zwyczajny wariat, ale umie żyć!
Czerwono-biały sztandar załopocze,
tumanem błyśnie nad ulicą kurz,
a on pył w ustach, lecz pełne ma oczy
szczęścia i — patrzcie! — on cieszy się już!
Wpatrzony w tęczę, zbyt skłonny do wzruszeń,
jak drzwi Sezamu mija każdy sklep,
kupuje kwiaty jak zbawienie duszy
i jakby Hostię je powszedni chleb.
Więcej nic nie chce. Bo dość mu jest nieba
i dosyć ulic, tramwajów dość też,
więcej doprawdy już nic nie potrzeba!
świat nosi w sercu jak w kieszeni wiersz.
Takim błogosław, błękitny mój Boże,
bo oni jedni pojęli Wszechtreść,
bo oni jedni, dziecinni w pokorze,
obnoszą światem o świetle Twym wieść.
Takim błogosław, daj wszelkie im dobro,
daj dosyć słońca, pogody i gwiazd,
niebo niech świeci przejrzyście i modro
i niech tramwaje przychodzą na czas.
Majem i bzami niech pachną im zmierzchy,
serca niech biją o piersi, a w tych
sercach świat kwitnie, — a mnie za te wiersze
daj, niechaj także będę jedną z nich.

Helena Tatar-Zagórska

W SŁOŃCU I MGLE GORGANÓW

(Obóz harcerski w Maksymku).

Kiedyś podczas jednej z naszych podlwowskich wycieczek wiosennych, powstał jak to zwykle bywa przy ognisku harcerskim pomysł. We trójkę uradziliśmy utworzenie obozu wędrowno-stałego w czasie wakacyjnym w sercu Gorgan, daleko od cywilizacji, pośrodku lasów, nad strumieniem górskim, w sąsiedztwie wysokich skalistych szczytów. Aby się nałykać powietrza świeżego, czystego, głębiej odetchnąć, powałęsać się po grzbietach górskich, zniknąć we mgle białej i opalić się w słońcu promiennym. Marzenia są miłe ale na nich nie koniec. Rzeczywistość była twardszą. Trzeba było wykonać moc pracy na przygotowania, z zaprzeczeniem siebie i czasu. Harcerze robili wszystko z zapałem.

Czas odjazdu zbliżał się, wyjrzały z szafy wielkie namioty kilkunastoosobowe, kotły obozowe, garnki, saperki, toporki. Rosły zapasy żywności. Bilety były gotowe. W nocy ujrzała nas hala dworcowa. Do gór, do gór, do gór, do gór, dudniły po stykach szyn koła pędzącego pociągu. Trzydziestu harcerzy włóczęgów stało na straży swych plecaków, pak i tobołów.

Rankiem wysiadamy w Nadwórnej, aby przeładować się na pobliską kolejkę wąskotorową. Poczciwy samowar ciągnął szereg wagoników, wjeżdżaliśmy w głąb gór. Dzień był upalny, parny, lokomotywa sapała, podziwialiśmy zalesione zbocza rosnących Gorganów. Przed mostem na potoku Maksymiec, kolejka zatrzymała się. Przeładowaliśmy bagaż na czekającą już wynajętą furmankę. Jeszcze parę kilometrów w górę doliny Maksymca, po kamienistej drodze.

Wieczór powoli zapadał, słońce chyliło się za szczyty, powietrze było wyjątkowo łagodne, rzeźwiące, ogarnęła nas ciepła spokojna fala, a z nią nastrój letniego wieczoru. Widok w kierunku wylotu doliny był wspaniały, dalekie góry były niebieskie, granatowe i łuną płonące. Ostatnie blaski słońca, ginęły na przeciwległych skalistych szczytach, a cienie podnosiły się coraz wyżej, noc zapadła szybko. W górze na niebie ukazały się gwiazdy, miliony srebrnych świecidełek.

Wprowizorycznie urządzonym noclegowisku usnęliśmy znużeni wrażeniami długiej podróży. Oprócz warty czuwały nad nami piętrzące się grzbiety górskie, stare świerki pachnące i srebrzysto-dźwięczna wstęga górskiego potoku. W nocy odezwał się krzyk rozdzieranego ptaka, echo dalekiego strzału kłusownika odbijało się wielokrotnie, góry były czarne, zimne, o jasnych widmowych konturach.

Rankiem stanęły na wytyczonych miejscach namioty, ogrodzono teren obozu, budowano kuchnię, tamę na strumieniu, dyżurni kucharze warzyli coś w wielkim kotle. Stanęła bramka ozdobna, kapliczka pod drzewem, klomb i wiele innych ładnych i pożytecznych rzeczy. W namiocie komendy odbywała się odprawa komendanta obozu z funkcyjnymi. Dawny projekt przybierał formy realne.

A więc rozkład dnia, omawianie ćwiczeń, przygotowywanie przeżyć dla naszych młodszych braci-harcerzy.

Orzeł długo ważący się na niebie nad naszym obozem był symbolem wspólnej idei i wróżył dobre udanie się ćwiczeń.

Co parę dni inna grupa harcerzy udawała się na wędrówkę po wyznaczonej z góry trasie, zwiedzając część Gorgan. Reszta przez ten czas trenowała w obozie. Zdawano stopnie i sprawności: Obóz żył, kształcił i czuwał.

Od dwóch dni już maszerujemy w szóstkę przez karkołomne grzbiety i szczyty w kierunku Jaremcza. Dzisiejszy świt zastał nas na przełęczy pod grzebieniastym dzikim stokiem, wśród świerków i kosówki. Wytknęliśmy nosy z namiotów. Było zimno i wilgotno. Ale jedno spojrzenie ku szczytowi, który od wschodzącego słońca był złoty i srebrny, zerwało nas na równe nogi.

Mchy żyjące na głazach tworzyły fantastycznie mieniący się kobierzec. A w dolinie na prawo było morze białej mgły, poprostu tafla równa, nieruchoma, wsie i pola spowite były gęstym płaszczem bieli. Wschodzące wyżej słońce wywołało ruch wśród białej płaszczyzny. Zaczęła się wyginać, przesuwać, powstawały pagórki, wyskakiwały fontanny. Powstający wiatr rwał w strzępy i rozrzucał mleczne opary, przepędził je przez zbocze. Przez siatkę mgły dały się widzieć wsie i pola, zazłociły się blaskiem promieni. Resztki mgły znikły przed słońcem jak nocne straszydła. Śniadanie było gotowe. Poczęliśmy się piąć wąską ścieżką wśród gęstych krzewów kosodrzewiny, potykając się na kamieniach. Droga była coraz stromsza, drapaliśmy się po coraz większych blokach skalnych piętrzących się pod niebo, pokruszonych kapryśną ręką przyrody. Drobne kamyki uciekały spod nóg, usuwały się, większe chwiały się, były oślizgłe od wilgotnego mchu. Były też tak wielkie jak szafy, olbrzymie bloki skalne. Na grani wiał silny i mimo wysoko stojącego już słońca, zimny wiatr. Czuliśmy ogrom i masę powietrznego jeziora, powietrze było niemal uchwytne. Kilkaset metrów poniżej naszych stóp stały świerki w perspektywie zmalałe, a dalej 50 czy więcej kilometrów na dolinach, widziane przez mgłę błękitu, jaśniały pola. Tam wiatr dmuchał żarem, tu było zimno. Zeszliśmy na południowe zbocze. Cieplarniany żar ogarnął nas wszechwładnie. Co tu borówek i poziomek, ogromnej wielkości.

Jemy ile się zmieści a reszta? Resztę deptamy z konieczności, bo nie ma miejsca gdzieby ich nie było. Nasze zielone ubrania granatowieją gdy chcemy usiąść. Po osypisku głazów na stromym zboczu schodzimy a raczej zesuwamy się ostrożnie. Jeden z naszych potyka się i upada, aby złapać równowagę chwyta za zmurszały pień drzewa, olbrzymi głaz oparty o niego przewalił się, pociągnął masę kamieni po stromym stoku, obsunęły się głazy, potoczyły, runęły, posypały się odłamki okruchów i podniósł się pył. Trzasnęło o niżej położone drzewa, z dołu doleciał trzask i łoskot pękających drzew i rumor sypiącego się żwiru. Ładnie mogliśmy wyglądać po przejściu takiej prasy, zrobiliśmy się trochę ostrożniejsi. Obtargani przez kolce ożyn i malin, z podartymi pończochami a przede wszystkim setnie zmęczeni, przedarłszy się przez gąszcz krzaków, obozujemy w parowie nad kryształowym strumieniem. Mamałyga ze skwarkami i herbata, stanowiące clou naszego obozowego menu smakowały nam wyśmienicie. Potem kąpiel w strumieniu górskim doskonale odświeżającym. Zimna woda w znakomity sposób regeneruje nasze stopy. Po bokach parowu zwartą ścianą pnie się zielony las. Na płachtach namiotowych odpoczywamy przez żarne południe. Jesteśmy na dnie wąskiego a stromego kanionu, rzut oka w górę przedstawia tylko zbocza i szczyty Nad wodą biją się jakieś motyle, srebrzystym wyskokiem nad powierzchnię wody prezentuje się pstrąg. Z małego wodospadu spada kaskadami woda, na dole bulgoce i szemrze, wyrzuca czarny piasek. O trzeciej popołudniu ruszamy dalej. Tego dnia jeszcze dochodzimy w nocy do Jaremcza. Śpimy w ciasnym pomieszczeniu.

Wybierając się w góry warto zabrać ze sobą mapę i kompas, tak jak nie zawadzi zabrać strzelbę wybierając się na polowanie. Czasem jednak zdarzają się małe komplikacje podczas trudnych warunków. Więc gdy pada deszcz ulewny i ściemnia się już trochę na dworze, w miejscach niezbyt zdecydowanych a raczej zupełnie wątpliwych schodzą się cztery arkusze mapy (tylko). Mogą być rozmaite kombinacje warunków terenowych z warunkami metereologicznymi i nie zawsze da się trzymać pilnie mapy. Trzeba mieć coś więcej, coś co nie można zgubić, ani utopić, mianowicie nos turystyczny, instynkt zawsze wyprowadzający na właściwą drogę. Mieliśmy podobną historię, przez pięć dni w czasie naszej wycieczki była cudowna pogoda, mieliśmy dokładne mapy przebywanych terenów, ale jednej ćwiartki nam brakowało, właśnie przekroczyliśmy granicę tego odcinka. Ale jakby dla wypróbowania nas znikło słońce za bladymi chmurkami, coraz bardziej szarzało, przez grzbiety zaczęły się przewalać chmury, ciemne, przerywane płachty spływały po zboczach, zaczęło siąpić, było zimno i mokro. Chmury waliły coraz czarniejsze, deszcz przeszedł w ulewny. Nie było widać świata, byliśmy w terenie nieznanym. Żadne rozważania orientacyjne nie były na miejscu, byliśmy zdezorientowani, według wskazówek pastuchów nie mogliśmy się zorientować, nie rozumieliśmy ich. Była mgła, deszcz, mokro, powywracane drzewa, mchy po kolana, kamienie, błoto i kąsały nas zaciekle muchy końskie. Co za bujda na resorach pomyślałby ktoś, tu w górach muchy końskie. Tak, były i kąsały nas przez cały czas padania deszczu, były

nieustępliwe, przyczepiały się do pleców, kłuły przez koszule, odpędzane wracały, siadały na nosie, wciskały się do oczu. Trudno było je zwalczyć, gdy ręce były zmęczone i o ograniczonych ruchach, gdy się miało pełne plecaki na plecach. Wieczór zapadał, szliśmy ścieżkami, płajami, młakami, wyczuwając instynktem ogólny kierunek marszu, byliśmy pewni, że idziemy dobrze, jakiś nieokreślony bliżej rodzaj uczucia dawał nam poznać, że do obozu już niedaleko. Według rannych obliczeń mogło być jakie 25 km, teraz ile było nie mogliśmy wiedzieć. Kompas sam w górskich warunkach czasem nie na wiele się może przydać, dlatego spoczywał już dawno w kieszeni. Na wątpliwych rozstajach ciągnęło nas w jednym kierunku jak wilka do lasu, coś w nas krzyczało, że tylko tam. Maszerowaliśmy tempem marszu zadwórzańskiego, w tym wychodząc z lasu, poznaliśmy własną dolinę, dolinę potoku Maksymca, tu nasz obóz, instynkt nas nie mylił. Witaliśmy się niebawem z towarzyszami, poili nas herbatą i pytali o wieści. Byłem pod wrażeniem, że dzień dzisiejszy był trochę zaczarowany.

Ognisko zakończyło nasz obóz. Ze śpiewem, z zorganizowanymi pokazami z zaproszonymi gośćmi, bawiliśmy się wesoło. Ale potem zostaliśmy sami, drużynowy długo mówił nam o ukochaniu przyrody, o wycieczkach dalekich wędrówkach i włóczęgach. Jego słowa były jak krople rzucane na rozpalony kamień. Zrozumieliśmy, że przyroda dała nam poczucie wolności, była odskocznią od szablonowego i snobistycznego życia miejskiego. Ukochaliśmy ją dlatego, że przede wszystkim była piękna. W wyobraźni naszej przy ostatkach dogasającego ogniska przewijały się miraże przygód, wędrówek, wróciły przeżycia i odżyły w dawnej formie, porwał nas zapał do dalszej wspólnej pracy. Padający deszcz, stary przyjaciel włóczęgów i obozujących harcerzy zamknął bezapelacyjnie nasze posiedzenie.

Marian Legeżyński

WŚRÓD KSIĄŻEK

PRZELEWANIE Z PUSTEGO W ...PEŁNE

Kto jak kto, ale skauci muszą znać Polskę. Kpem jest starszy harcerz, który zanim jako inżynier, rolnik, rzemieślnik, doktór, nauczyciel nie zacznie być współbudowniczym kraju, w którym mieszka, czy jako oficer nie będzie go bronił, kpem jest — powtarzam — który tej Polski teraz nie pozna; nie z lekcji historii czy geografii, nie z pogadanek w ciasnej izbie, nie z małowartych dodatków filmowych, ale przez osobiste obejrzenie; raz wędrując po Polsce piechotą borem, lasem, przymierając z głodu czasem; raz rowerem; kiedyindziej kajakiem. Różne są sposoby, ale poznać Polskę trzeba. Kiep wódz który do tego nie zachęci skautów.

Polska jest nie tylko ładna...

Jako młody harcerz oglądał każdy z Was Tatry olśniewające bogactwem i przytłaczające powagą górskiej architektury, Augustowskie — chojną ręką natury posrebrzone jeziorami, Wileńszczyznę — zaklętą w zacofanej prostocie przedwieków, morze Bałtyckie — którego piękna słowem nie opiszesz. Toś już widział wszystko, piękno Polski — znasz. Teraz, gdyś przybrał zielony naramiennik skauta poznać musisz kraj z innej strony.

...ale i ciekawa, bardzo ciekawa i pouczająca

Ciekawych jest dużo rzeczy: fabryki Zaolzia, kopalnie Śląska, Centralny Okręg Przemysłowy, port Gdyński, Borysław ze swoim problemem nafty. Ciekawe są drogi po których się chodzi; rzeki, w których się kąpiemy; ciekawe jest złoże kamieni przy drodze i sterta zboża na polu; ciekawi są ludzie, z którymi rozmawiamy i domy, gdzie mieszkamy. Ale najciekawsze są wnioski, które z tych obserwacji można wyprowadzić. A najważniejsze wskazania na przyszłość, które nam wnioski podsuną. Trudne jest zadanie zastępowego, który chce swoim skautom porządnie pokazać Polskę. Nie wystarczy tylko przejść się dwa razy po porcie w Gdyni czy po COP-ie, nie wystarczy zrobić setkę ładnych zdjęć. To wszystko jest bardzo miłe, ale mało pożyteczne. Letnia wędrówka, która jest istotnym uzupełnieniem skautowego wyrobienia, musi być trójwymiarowa: w czasie, w przestrzeni, i w głąb — historyczna, geograficzna i społeczna. Trzeba tak ją przeprowadzić, a może najważniejsze — przygotować, aby zastęp skautów oglądający np. COP równocześnie — widział fabryki i maszyny; wiedział, co tu było lat temu tysiąc i lat temu dwadzieścia; myślał, co za korzyść z tego odniesie mieszkaniec tej ziemi. Harmonia tych trzech elementów dopiero da nam możność wyciągnięcia wniosków słusznych. Wędrówka wtedy będzie owocna.

Powtarzam — trud niemały zadać musi sobie wódz, by swą gromadkę do tego przygotować. Cóż! — nie ma róży bez kolców.

W takiej przygotowawczej pracy nie może pominąć harcerz jednej pozycji książkowej: „SZTAFETY" Melchiora Wańkowicza*). Jest to książka o polskim pochodzie gospodarczym w ciągu pierwszego dwudziestolecia Niepodległości. To objaśnienie brzmi groźnie i pachnie Rocznikiem Statystycznym.

Nie ma prawie biblioteki harcerskiej gdzie by nie było, nie ma harcerza — tak sądzę — który by nie czytał poprzedniej książki tegoż autora „Na tropach Smętka" — o której powiedziano, że poszerzyła Ojczyznę; o Sztafecie można powiedzieć, że uciekawiła Ojczyznę, że pokazała nam rzeczy, o których nawet nie wiedzieliśmy. Książka Wańkowicza w żadnym wypadku nie przypomina — Rocznika Statystycznego, nie jest suchym bilansem naszej rzeczywistości, zato — nam, harcerzom — przypomina ona zupełnie coś innego... gawędy przy ognisku. To co już zauważyliśmy w „Tropach Smętka" i co tą książkę wprowadziło do naszych bibliotek — tutaj rozwinęło się jeszcze pełniej. Tak jak jakiś wódz Rybie Oko czy Takwi w gawędzie ogniskowej będzie mieszał poważne morały z wesołą anegdotką z harcerskich szlaków, olbrzymie skróty historii z drobiazgowym omawianiem ciekawszych fakcików — tak Wańkowicz opowiada nam o tym, jak w dziejach Polski podawały sobie pokolenia pałeczki — jak w sztafecie — ładu i nieładu, kapitalizacji i dekapitalizacji, opowiada nam o Gdyni, COPie, Zaolziu, Borysławiu, o najważniejszych bolączkach i dokonaniach gospodarczych Niepodległości. Robi wspaniale musujący coctail z historii, statystyki, wesołej anegdotki historycznej i osobistej, wywiadów i rozmów z Panem Prezydentem, z chłopem, z robotnikiem, i z inżynierem. Pokazuje, jak podnieśliśmy się ze zniszczenia wojennego, jak z pustego zrobiono pełne. A do gawędy autor dodał film — to wydanie ozdobione kilkoma setkami pięknych i wartościowych fotografii i karykatur — historycznych i aktualnych.

Tę książkę uważam za niezbędną w przygotowaniach do letniej wędrówki po Polsce, po ciekawej Polsce. W niej bowiem znajdziecie właśnie te trójwymiarowe podejście do oglądanej rzeczywistości.

Gdy przeczytacie wodzowie i podwładni Sztafetę wpadniecie — prawdopodobnie — w zachwyt, jak ja, i stwierdzicie, że autor mógłby być morowym harcerskim gawędziarzem. A to najwyższa harcerska pochwała dla książki.

Ale... ale zachwycanie się bezkrytyczne, jest raczej szkodliwe. Nie każdy zgodzi się na wszystkie wnioski i wskazania autora. Prawdopodobnie w tym dużym tomie krytyczny czytelnik znajdzie wiele miejsc, które mu nie będą odpowiadać. Należy się nad tym zastanowić i wzajemnie — w gromadzie — przedyskutować, — może autor ma rację, a może jej i nie ma. O zdaniu sobie z tego sprawy musicie pamiętać.

Taka chwila skupienia nad książką Melchiora Wańkowicza, to jeszcze jeden z niej pożytek!

Żwawy Cietrzew

*) *Melchior Wańkowicz SZTAFETA, książka o pochodzie gospodarczym Polski. Wydawnictwo Polska Biblioteka, Warszawa 1939. Str. XVI+528, 4 wielobarwne plansze, 386 ilustracji, 19 karykatur.*


Zadowoleni i zdrowi.....
BO UŻYWAJĄ DO NASYCENIA WIERZCHÓW OBUWIA I PODESZEW TŁUSZCZU
Dobrolin
KTÓRY CZYNI OBUWIE NIEPRZEMAKALNYM.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

PRENUMERATA: Przy zamówieniu 1 egzemplarza wynosi miesięcznie gr 50, kwartalnie zł 1·25, rocznie zł 3·50. Przy zamówieniu 5 egzemplarzy zbiorowo (pod jednym adresem) miesięcznie zł 1·50, kwartalnie zł 4·50, rocznie zł 13·50. Numer pojedynczy kosztuje 25 gr. Prenumeratę wpłacać przez PKO.

ADMINISTRACJA: urzęduje codziennie z wyjątkiem świąt od godz 18—20. Warunki kolportażu wysyła się na żądanie.

Konto PKO Nr 504610 — Przekaz rozrachunkowy Nr 58.

SKAUT

wychodzi 15 i 30
każdego miesiąca
z wyjątkiem wakacji

NR BIEŻĄCY 370/1

Wydawca:
Z. O. Lwowskiego Z. H. P.
Redaktor naczelny i odpow.
Mgr WIKTOR FRANTZ
Sekretarz Redakcji
TADEUSZ KWIATKOWSKI
Kierownik Wydawnictwa
WŁADYSŁAW WENZEL
Adres Redakcji i Administracji:
LWÓW — KURKOWA 3

OGŁOSZENIA: Cała strona zł 200, 1/2 zł 105, 1/4 zł 55, 1/8 zł 30, 1/6 zł 17, 1/32 zł 9. W tekście 50% drożej. Przy ogłoszeniach seryjnych udzielamy rabatu.

Życzenia i zastrzeżenia miejsca dla ogłoszeń uwzględniamy nieobowiązująco w miarę możności. — Za ogłoszenia redakcja nie odpowiada.

REDAKCJA: Redaktor naczelny przyjmuje w redakcji we wtorki od godz. 18 — 19. Artykuły zamieszczane w piśmie nie są honorowane. Nadesłanych rękopisów redakcja nie zwraca.

Tłoczono w „Drukarni Polskiej“ B. Wysłoucha, Lwów, ul. Krasickich 18 a